

Łódź nie jest moim rodzinnym miastem. W Łodzi mieszkam od 1945 roku, od końca 1945 aż do dziś jeszcze przebywam tu. Poprzednio, przed Łodzią, mieszkałam przez krótki okres czasu w Lublinie u siostry męża Kordowicza, a jeszcze wcześniej mieszkałam w Wilnie i w okolicach Wilna. Urodziłam się natomiast w powiecie dziśnieńskim, w majątku Paryż należącym do Romerów. Urodziłam się w 1916 roku. Po pierwszej wojnie światowej majątek został spalony. W majątku tym mój ojciec był rządcą. Później przenieśliśmy się stamtąd do Wilna i ojciec został leśniczym. Było to mniej więcej 30 km od Wilna i tam był prawie do końca, do końca swego życia. Ta miejscowość nazywała się stacja Kiena, miasteczko Kowalczyki. Tam spędziłam swoje dzieciństwo, w tej leśniczówce byłam do 14 - 15 roku życia. Po śmierci mamy przeniosłam się do Wilna gdzie zaopiekowała się mną córka siostry ojca zamężna za Grotusa - sędziego z Baranowicz.

Będąc jeszcze panienką nazywałam się Żywicka - Irena, ale na drugie mam Janina. W domu nazywano mnie pieszczotliwie Ineczka, Janka, Janeczka, a później kiedy już poszłam do szkoły to Irena, bo pierwsze moje imię było Irena. W domu byłam 5 dzieckiem z kolei, najmłodszym. Najstarsza siostra moja była chyba ponad 10 lat starsza ode mnie, dokładnie nie znam daty ich urodzenia, później był brat, później siostra, znowu brat i ja najmłodsza. Rodzeństwo moje przebywało zawsze w Wilnie ponieważ tam się uczyli i tam była mamy siostra rodzona, bezdzietna, która bardzo kochała nas wszystkich i była przywiązana do nas tak jak do swych rodzonych dzieci. Była zamożna i miała dobre warunki mieszkaniowe. Mieszkała przy Holenderii 8. Nazywała się Helmanowa - już jako mężatka. Panieńskie nazwisko Traczewska.

Podstawową szkołę, w przeciwieństwie do rodzeństwa, które miało

prywatną nauczycielkę w domu, chodziłam do szkoły podstawowej w Kienie. Kiedy miałam 10 lat zmarła mi mama. Jak ukończyłam szkołę podstawową to ojciec był jeszcze wdowcem, kiedy ożenił się (powtórnie) to zabrała mnie rodzina do Baranowicz. W domu bywałam tylko wyłącznie w czasie wakacji, albo większych świąt, jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Oni mnie oddali do szkoły, do Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli. Bardzo chcieli mnie dać do Seminarium Nauczycielskiego, ale w owym czasie już się ono likwidowało i powstawały 4 letnie a później 2 letnie gimnazja pedagogiczne. Mnie udało się jeszcze dostać do Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli. To było w Wilnie. Po ukończeniu pracowałam bardzo krótko w Holszanach jako wychowawczyni w przedszkolu w klastorze, kilka miesięcy. Wkrótce stamtąd wyjechałam, bo poznałam już dużo wcześniej pana, z którym się przyjaźniłam, który się częściowo mną opiekował, bo był moim nauczycielem w ostatnim roku szkoły podstawowej i znał moich rodziców, znał moją matkę. On przyjechał tam i po prostu mnie zabrał i wyszłam (za niego) za mąż. W listopadzie w 1937 roku wyszłam za mąż.

Taki to był dziwny zbieg okoliczności, bo miesiąc ten nie był specjalnie wybrany. Zawsze mówiłam, że to chyba mama mi pomogła znaleźć bardzo dobrego człowieka. Był moim nauczycielem i potem mi w życiu bardzo pomagał, nawet jeśli chodzi o szkołę, oddziaływał na mnie bardzo wychowawczo, opiekuńczo i troskliwie już od najmłodszych lat kiedy mnie poznał. Już kiedy byłam w internacie przyjeżdżał do mnie, zawsze był zainteresowany tym co robiłam, czego się uczyłam i jak mi szła nauka. Kontaktował się z sędzią Grotusem w Branowiczach.

Mąż mój pracował, pełnił obowiązki kierownika (szkoły) w Piekieliszkach. To była miejscowość znana, ponieważ tam miał folwarczek darowany przez miasto Piłsudski. I również opodal niego była szkoła imienia Piłsudskiego. Tam właśnie mąż pracował krótko

a później z konkursu został kierownikiem szkoły w Jaszunach. To była miejscowość taka na pół-miasto ogród. Dużo było emerytów. Teren był bardzo ładny i dojazd do Wilna był doskonały, to tam budowali sobie zamożniejsi domki willowe. Tam był majątek Balińskich i Baliński nawet sprezentował kawał ziemi, na której miała stać szkoła 7 klasowa powszechna w Jaszunach. Już był budulec przygotowany. Tam zamieszkaliśmy. To było niecałe 30 kilometrów (od Wilna), na linii Czarny Bór - Jaszuny - Lida i Baranowicze, na odcinku Lida - Wilno.

Aha! Kiedy wyszłam za mąż natychmiast zdecydowałam się dalej uczyć. Już nie obciążałam rodziny Grotusów jeśli chodzi o stronę materialną, bo miałam konkretną pomoc ze strony męża i on właśnie bardzo pragnął żebym dalej się podciągała w nauce. Zaproponował mi znając moje uzdolnienia i możliwości (wstąpienie) do Konserwatorium Wileńskiego, które mieściło się przy ulicy Wielkiej 8. Tam miałam się dostać na kurs nauczycielski śpiewu. Byłam tam 2 lata, od 1937 roku do..., niecałe dwa lata, bo w 39 już wybuchła wojna. Wojna przerwała tę moją edukację.

W 1939 roku, w czerwcu mąż mój dostał wezwanie na przeszkolenie wojskowe. Był w 5 Pułku Piechoty w Wilnie, podchorążówkę ukończył w Lidzie, a przydzielony został do Wilna. Wezwany został do Warszawy na kurs intendencki 2 miesięczny. Już w czerwcu wyjechał do Warszawy i oczywiście za nim pojechałam ja. Byliśmy tam niecałe chyba 2 miesiące razem. Bardzo sympatycznie i bardzo miło spędziłam czas. Dużo zwiedzaliśmy, chodziliśmy na opery i do teatru, na potańcówki i gdzie tylko się dało. Wyjeżdżaliśmy trochę statkami. Już kiedy skończył kurs - to było 17 sierpnia, wróciliśmy do Jaszun, żeby szykować się do rozpoczęcia roku szkolnego. Tymczasem na któryś tam z rzędu - 2 czy 3 dzień nagle przychodzi wiadomość, że jako jeden z pierwszych dostał kartę MOP do Grodna.

Oczywiście rozpacz, rozpacz duża, bo chaos wielki powstał. Ja sama rodziny nie miałam w pobliżu. Rodzeństwo moje było w Łomży. Tam pojechał brat jeden, potem zabrał siostrę, drugiego brata. Jedna siostra została u mojej krewnej - cioci Helmanowej w Wilnie, która wyjechała na letnisko. To był okres kiedy nie miałam kontaktu z nikim. Zostałam dosłownie sama, bo męża zabrali (do wojska). Mąż wiedząc o tym, że Grotusowie są w Baranowiczach, Helmanowie nie wiadomo gdzie, a ja w Jaszunach sama jako ta młoda i niedoświadczona jeszcze życiowo, zaczął robić starania w wojsku, żeby jednocześnie do wojska zabrać i mnie jako kobietę jeszcze bezdzietną, no może do jakiejś służby zwłaszcza, że ukończył kurs intendencki, a więc może i ja bym mogła być tam przydatna. No i rzeczywiście uzyskał takie zezwolenie i przysłał mi wiadomość do Jaszun, że mogę przyjechać, ale najpierw muszę obrać sobie kierunek na Baranowicze, ponieważ jego skład pociągu, jak się już dowiedział, będzie kierowany na Lwów. To było już niedaleko 1 września i były już pewne ustalenia. No i pojechałam...

Już nie pojechałam do Grodna, bo tam został (mój mąż) powołany, ale pojechałam do Baranowicz. Coś niecoś z ubrania sobie wzięłam. Ja przewidywałam, że może i zima mnie tam zastanie. Będąc już w Baranowiczach, po paru dniach koło godziny 5 rano przyjeżdża na rowerze żołnierz i zawiadamia mnie, że mam się stawić, bo o 5 będzie przejeżdżał pociąg przez Baranowicze i ja mam się tam stawić, bo będzie tam jechał taki i taki, czyli mój mąż. Więc ja oczywiście prędko wyskoczyłam, pobiegłam tam nic ze sobą nie zabrawszy. Mąż przewidział to, że mogę być taka zdezorientowana, a wojna już wybuchła. To był już chyba 3 czy 5 może września, a może dalej. Już dokładnie dat nie pamiętam. Wybiegłam na dworzec za tym posłańcem, za gońcem, za tym żołnierzem i rzeczywiście za parę minut z daleka widziałam jadący, ciężki, ciężko wyładowany

pociąg. Okazało się, że już kierowano wszystko w kierunku na Rumunię i Węgry. Wszystkie nasze intendentury. Mąż był właśnie tego pociągu tak zwanym kapitanem. Nie z ramienia rangi tylko z ramienia dowodzenia.

Kiedy byłam już na dworcu zobaczyłam jadący pociąg. Z daleka mnie mąż poznał i jeszcze w biegu wyskoczył, podbiegł, bo zdawało mu się, że będzie prędeziej. No i powiada: "Widzę, że nic nie masz. Przewidziałem to i umówiłem się z następnym dowódcą pociągu. Za trzy godziny będzie jechał i ciebie zabierze. Masz przydział. Masz zezwolenie. Oficjalnie będziesz żołnierzem ze mną razem w intendenturze. Myślę, że dzielnie się spiszesz, bo jesteś dzielna." Taki komplement to mnie rzeczywiście zobowiązywał bardzo i wiedziałam, że na pewno jako Polka będę bardzo pożyteczna. Tymczasem parę minut po jego odjeździe było straszne bombardowanie Baranowicz. Straszne. Zmasakrowało Baranowicze. Nie wiem jak ja tam to przetrwałam, w każdym razie podszedł do mnie kapitan stacji i zwrócił się z bólem i współczuciem i powiada: "Dziecko moje gdzie ty teraz będziesz". On miał zawiadomienie i wiedział, że ja mam pozwolenie jechać dalej (razem z wojskiem). Ja mu mówię: "Nic innego mi nie pozostaje jak wracać do Wilna, bo moja rodzina u której się zatrzymałam w Baranowiczach szykowałam się do wyjazdu na wieś, ale ja nawet nie wiem w jakim się udali kierunku, tak że ja ich nie znajdę. Jak ja się szykowałam na dworzec to oni składali paczki i wyjeżdżali z Baranowicz".

Udało mi się dostać do pociągu, który się składał z kilku wagonów, które ocalały (z bombardowania) i który się kierował na Lidę i oczywiście Wilno. To był pociąg, który wiozł rannych z frontu, rozbitków. Wśród nich byłam i ja. Udzielałam im jak umiałam pomocy. Sama nie byłam doświadczona, nie przeszkolona, ale bardzo przejęta swoją rolą. Wśród jęczących, płaczących wróciłam

do Jaszun, przez które pociąg przejeżdżał. I tam się zatrzymałam. To było tak koło połowy września, bo pociąg też nie w ciągu jednej doby wrócił. Trochę długo jechał, bo się zatrzymywał, były bombardowania... A może to było wcześniej. Tego dokładnie nie pamiętam. Więc ja myślę, że tak koło 10 może września wróciłam do Wilna.

Wkroczenie bolszewików na te tereny Polski było dla mnie ogromnym zaskoczeniem. W owym czasie byłam w Jaszunach. Ciągłe mi się zdawało... Chodziłam po szosie... Wielu bardzo oficerów i żołnierzy wracało więc ja sądziłam, że może... Szli polnymi drogami i nawet traktem głównym od strony Bieniaków..., że może wśród nich znajdę swojego męża. Wychodziłam tam na spacer w poszukiwaniu go albo znajomych i spotykałam rozbitków. Szli miedzami, bo się bali, bo już wkroczyli bolszewicy. Oni wkroczyli tak nagle, że po prostu ja myślałam z początku, że to żołnierze polscy, ale widzę, że inni, że z gwiazdami. Okazało się, że to byli bolszewicy. Bardzo szybko przyszli do nas, bo to niedaleko granicy było. Tam w pobliżu był majątek w Jaszunach. Znany, bo tam właśnie Słowacki przebywał, tam miał swoją ukochaną. Tam mieszkali Balińscy. Ostatnim właścicielem majątku był Baliński. I tam właśnie zaraz bolszewicy wkroczyli i oczywiście pozwolili ludziom ze wsi brać wszystko co tylko chcieli z tego majątku. Byłam świadkiem strasznej grabieży. Cierpiałam bardzo jak to wszystko było w nieposzanowaniu. I biblioteka i portrety i wszystko cokolwiek się przydało i nie przydało było grabione. Ludzie nie wiadomo jacy i skąd to rabowali. Nawet klamki wyłamywali. To zapamiętałam z owych tragicznych czasów. I wtedy też miałam jakieś ustne wiadomości od idących po kryjomu, po nocach żołnierzy że bolszewicy wyłapują polskich żołnierzy i wywożą. Straciłam nadzieję, że mój mąż wróci.

Sowieci mówili, że przyszli nas oswobodzić, żebyśmy się nie martwili, że wszystko będzie dobrze. Z zachowania się ich

nie widziałam tego. Byli wygłodzeni. Wykupywali, czy właściwie no ja nie wiem na jakiej podstawie, wybierali z piekarni cokolwiek było z białego pieczywa. No jednym słowem byli bardzo wygłodzeni. Byli też no tacy, w przeciwieństwie do żołnierza niemieckiego, bardzo, bardzo ubodzy.

W owym czasie, w 39 roku ja nie widziałam w Wilnie Litwinów. W ogóle litewskiego nie sływszałam. Bardzo mały procent był Litwinów. Litwini nawet szkół nie mieli. Było podobno gdzieś gimnazjum litewskie, o którym ja nawet (nie wiedziałam)... Litwini dopiero potem się okazali, bo poprzyjeżdżali z Kowna, poprzyjeżdżali ze wsi. I dopiero potem byli panami sytuacji, dopiero po paru latach. Nie mogę operować dokładnymi datami, bo nie mam takiej pamięci. Mogę się coś w datach mylić. Litwini im dalej tym sami czuli się bezpieczniejsi i pewni, tym mniej byli sympatyczni, coraz gorsi dla Polaków. Oni mieli zawsze jakieś pretensje o Wilno.

Jak wybuchła wojna to ja dostałam z ramienia pracy męża 3-miesięczną odprawę. I to było wszystko. Wiem, że pojechałam ze swoją znajomą do Wilna, żeby te pieniądze wydać. Bałam się, bo tam Niemcy idą, a tu z tyłu uderzyli, że tak powiem w plecy bolszewicy, że pieniądze mogą stać się nieważne, szybko się dewaluują. Trzeba było jak najprędzej, w tych pierwszych dniach póki jeszcze były jakie takie możliwości coś kupić. Pamiętam, że ze swoją bardzo dobrą znajomą panią Szczecińską, która mieszkała w Łaszunach, pojechałyśmy do Wilna. I ona mi jako starsza i praktyczna pani poradziła żebym kupiła sobie futerko. Za te pieniądze można było je kupić, nawet ładne futro. Brajtszwance kupiłam sobie za jej radą. Przywiozłam więc to futro i jeszcze kupiłam sobie parę rzeczy, trochę ciepłej bielizny, pończoch i parę innych drobiazgów. I bardzo dobrze zrobiłam, bo za parę dni już te pieniądze nasze były nieważne po prostu. Już nic nie można było za nie kupić. Nawet

nikt nie chciał owoców sprzedać. Raczej można było za darmo uzyskać, bo wieś była dobroduszną i dobrzy ludzie byli na wsi tam.

W pierwszym roku wojny to ja nie pracowałam, bo wierzyłam w to, że w końcu przyjdą Polacy i ja nie chciałam nikomu służyć. Początkowo zatrudniono mnie jako nauczycielkę - chociaż nie przygotowaną, w tej szkole, w której mąż objął kierownictwo. Przyjechał inspektor z Wilna i tak poradził zrobić, ale tak byłam zatrudniona przez krótki okres, bo zaraz szybko wszystko się zmieniło i tylko ci Polacy zostali na stanowiskach, którzy szybko zdecydowali się uczyć się języka litewskiego. Ja uważałam, że to jest język taki nie bardzo światowy, że z niego wiele nie skorzystam, a Litwinów jest mało. Niebawem się okazało, że poprzyjeżdżało ich potem dużo, bo i z Kowna i ze wsi. Skąd tylko się dało to jechali Litwini do Wilna. No i tak się rozpoczął ten pierwszy rok wojny. W pierwszym roku wojny ja nie pracowałam. Zdawało mi się i wszyscy tak mówili, że wojna niebawem się skończy.

Długi czas nie miałam wiadomości od męża. Pierwsza wiadomość została ogłoszona chyba w Londynie. Dokładnie nie pamiętam. Ja nie słyszałam tego. Radiowa była wiadomość, że taki i taki Kordowicz Stefan z 7 Pułku Niedźwiadków tak zwanych, a później znaczy się jako intendent, żyje i jest na Węgrzech. W 39 roku mąż został zmobilizowany, co muszę zaznaczyć, jako porucznik rezerwy. Potem był oczywiście w czynnej służbie, skończył kurs intendencki w Warszawie i z tego tytułu ja miałam ułatwione pozwolenie od władz na wspólny z mężem pobyt w jednym pułku. Dostał pozwolenie od władz, bo był zmobilizowany w pierwszym dniu, czyli 17 ~~wrze~~ sierpnia, o ile dobrze pamiętam. Mogę się trochę mylić, ale już przed 1 chyba września ja dostałam wiadomość, że mogę razem z nim być w wojsku. Ja już nie pojechałam do Grodna gdzie był zmobilizowany, tylko tak jak już powiedziałam, miałam być w Baranowiczach, tam miałam się



spotkać z nim, bo taką miałam depeszę, żeby jechać tam. No i pojechałam do swoich krewnych tam.

Nim otrzymałam tą wiadomość radiową, że mąż żyje, dowiedziałam się, że pociąg, którym mąż jechał jako intendent był całkowicie zbombardowany. Życie jego było bardzo niepewne. W tym załamaniu i w tym bólu jechałam (w 39 roku) do Wilna. Będąc już w Wilnie sądziłam, że mąż już nie żyje. Dopiero gdzieś po kilku miesiącach była pierwsza wiadomość radiowa, w której podano, że porucznik taki a taki znajduje się na Węgrzech, poszukuje rodziny - żony i rodziny, drogą radiową pozdrawia ich. To była pierwszą wiadomość. Po pewnym czasie mąż mój sądząc, że mogę być w Baranowiczach, w Jaszunach albo w Wilnie gdzie był brat męża, zawiadomił znajomych w tych miejscowościach, listownie. Oczywiście zaraz mnie znalezione i powiadomiono, że mają wiadomości. On oczywiście podał swój adres. Raz podał drogą radiową - ja tego nie słyszałam, ale słyszeli znajomi i podali mi, a później otrzymałam list na Jaszuny. Wtedy już wiedziałam, że żyje, że jest cały i że stara się w dalszym ciągu, żeby mnie ściągnąć.

Już w 39 czy 40 roku miałam możliwość wyjechania do Lyonu, do Francji, ponieważ tam mąż miał przyjaciela, który się ożenił w Lyonie, tam pracował. Mieliśmy się tam wspólnie z mężem spotkać. Miałam tam pojechać przez Kowno, oczywiście drogą nielegalną. W każdym razie wszelkie moje próby wyjazdu zawsze były zakończone niepowodzeniem głównie dlatego, że sprawy polityczne się zmieniały, bo najpierw byli bolszewicy, potem Litwini, potem znowuż władza niemiecka. Niemcy dość wcześnie wkroczyli do Wilna. I ciągle sytuacja polityczna się zmieniała. Miałam utrudnioną korespondencję z mężem. Zaraz się urwała. Znowu nie wiedziałam co się z nim dzieje. Kilkakrotnie podejmowałam próby wyjazdu na Węgry. Myślałam, że uda mi się przedostać, bo mąż mi przekazywał, że na Węgry przyje-

żdżają takimi a takimi drogami. I nawet skontaktowałam się z panią, która dała mi adres przemytnika, który miał przez Zakopane odstawić mnie na Węgry. Usiłowania moje w tym względzie były kilkakrotne, ale zawsze się nie powiodły. Raz na przykład dostałam się tylko do Lidy, drugi raz za Lidę, trzeci raz znowuż w ogóle się nie zdecydowałam, bo była zima i zdrowie mi się pogorszyło. I tak trwało to do 44 roku.

Pracowałam wtedy w szpitalu niemieckim. Nawiązałam kontakt z panią, która chciała dotrzeć do rodziców w Zamościu. Sądziłam, że to będzie już w połowie drogi, a dalej to może nawiązę znajomości i tak będę od rodziny do rodziny wędrowała. Tymczasem doszłam do Nowojelni. Dotarłam tam z tą koleżanką, z którą pracowałam. I tam nas aresztowali bolszewicy sądząc, że jesteśmy szpiegami. Zatrzymano nas trzy dni i chciano rozstrzelać. Nawet przyszli już z tym zamiarem. Były tam takie leje nad Niemnem przy moście i tam nas chcieli zaprowadzić. Uratowało nas może to, że ta moja współtowarzyszka była takiej nieprzeciętnej urody. Bardzo ładna i młoda. Padła na kolana, zbladła i powiada, że ona idzie do matki i że to można sprawdzić przecież. Mówiła, że my idziemy tylko do rodzin, że mamy tutaj zbombardowane domy, nie mamy gdzie się zatrzymać. Nie jesteśmy przecież jeszcze takie stare, żebyśmy miały działać na jakąś niekorzyść czy bawić się w szpiegów. Przeprowadzono rewizję. Zostałyśmy poinformowane o tym przez właścicielkę domu, w którym nas trzymano, a właściwie żonę pocziarza, która przez szparę w drzwiach przekazała nam wiadomość żebyśmy spaliły albo podały jej to ona zniszczy wszystko to co miałyśmy ze sobą. Ja zniszczyłam zdjęcia męża wojskowe, szwagra w todze i krzyżem. Ona też miała wojskowych krewnych. Wszystkośmy i listy też popaliły. Tylko takie możliwie niegroźne zostawiłyśmy. No i rzeczywiście zrobili nam bardzo szczegółową rewizję. Nie znali języka polskiego i kaza-

li nam odczytać zatrzymane listy. Ja bardzo krótko to robiłam, ale ta panienska czytała jeden cały list, ale tak cudownie to robiła, bo nie czytała o czym tam w rzeczywistości napisane było tylko tak sprytnie fantazjowała, że ja sama uwierzyłam, że to właśnie tak było autentycznie napisane. No i szczęśliwie puścili nas i kazali nam wracać do Wilna. My zamiast wracać do Wilna poszłyśmy na dworzec, wlażyłyśmy pod samochód, schowałyśmy się tam na platformie kolejowej, bo to był pociąg, który wiozł różne samochody - większe i mniejsze. To był pociąg towarowy i myśmy się tam schowały. I ten pociąg ruszył na Baranowicze. I tak dojechałyśmy do Baranowicz co już zawsze było lepsze, bo było trochę dalej. Niebawem okazało się, że bardzo źle wybrałyśmy, bo w Baranowiczach było już dużo Ukraińców i było niebezpiecznie. Zostałyśmy poinformowane przez kolejarzy Polaków, żeby strzec się, nie pokazywać się na dworcu, ale trzymać się blisko wagonów, bo niebawem ma być pociąg na Brześć. Mówili nam żeby jechać na Brześć tam przejść przez Bug i już będziemy na terenach polskich.

To wszystko dzieje się w 44 roku. Po bardzo długim czasie, jakieś dwa tygodnie to wszystko trwało nim się dostałyśmy do Brześcia. I tam w Brześciu dowiadujemy się, że od dwóch dni utworzona jest granica, czyli już wstrzymane jest przejście. Poinformowali nas o tym kolejarze, a kolejarze to byli Polacy. I ci Polacy widząc nas takie bardzo wyczerpane i zmizerowane byli tacy serdeczni i dobrzy, że zabrali nas do swoich rodzin. Oczywiście dali nam odpowiednie warunki. Jeden kolejarz swoją sypialnię małżeńską nam odstąpił, pościel. Gościli nas czym tylko mogli. Nawet bym powiedziała że hojnie. Podprowadzili nas pod Miedzany, pod granicę i powiadają nam żebyśmy już dalej ryzykowały same. Był tam most, most cywilny. Tam pociąg nie jechał tylko samochody. Nie opodal mostu, gdzieś około kilometra drogi znajdował się stół przy którym siedzieli

NKW-dziści i sprawdzali dokumenty. Mogli przejść ci, którzy z jakiś przyczyn zostali po tej stronie, ale oczywiście musiała to być miejscowa ludność, a myśmy miały dokumenty wileńskie. Te dokumenty były niedobre, więc na pewno by nas zatrzymali, a może by nas gdzieś w nieodpowiednie miejsce odesłano. Pamiętam, że był na moście taki o skośnych oczach żołnierz, opalony, bardzo ciemny. My padłyśmy na kolana i mówimy, że zaraz w tej wsi my mieszkamy i żeby on nas przepuścił. Mówiłyśmy że nie mamy dokumentów i nic nie mamy tylko ten tłumok na grzbiecie i tylko to chcemy przenieść i przejść do rodziny. On popatrzył na nas i powiada: "Idźcie, ale jak tamci zobaczą to ja będę strzelał do was." Z późniejszych wydarzeń pamiętam tyle, że przebrnęłyśmy most, ale ja straciłam przytomność. Dalej wiedziałam, że leżę przy jakiejś chacie na ławce. Chata była słomą kryta słomą. Zostałam oblana wodą i tyle z tego wiedziałam.

Stamtąd dostałam się z tą dziewczyną do Lublina, do siostry męża, do której odwieźli nas dobrzy ludzie miejscowi. Jedni podwieźli kawałek, a potem przekazali dorożkarzowi pod Lublinem. Wiózł on nas 17 km. W ten oto sposób dostałam się do siostry męża. To był rok 44, kwitły wtedy, zaczynały kwitnąć astry, więc gdzieś musiał to być sierpień. Ta pani, która ze mną szła, ta koleżanka moja młoda pojechała do Zamościa. Była u nas - u siostry męża coś około tygodnia. I ten woźnica też był z nami. Jednym słowem bardzo uroczyście i bardzo serdecznie nas siostra męża przyjęła. Zawsze mi była do końca jej życia matką serdeczną. To była najstarsza męża siostra, a mąż był 12 dzieckiem, więc różnica wieku była bardzo duża.

Tutaj zatrzymałam się i nie dano mi jechać dalej, bo stan mego zdrowia był bardzo słaby. Lekarz absolutnie zakazał mi podróży i prosił siostrę, żeby mnie możliwie dobrze odżywiła. Zatrudniłam

się w Zarządzie Miejskim w Lublinie. Tam było dosyć sympatycznie. Z wielkim zainteresowaniem śledziłam radiowe wiadomości i czekałam tego co czas przyniesie. Tak przetrwałam zimę. W maju, pamiętam na samym początku maja dostałam mylną wiadomość, ale ja myślałam, że to jest od męża, z Nowego Sącza. To był przekaz pocztowy. Przekaz na którym było 500 zł. Nie pamiętam jaka to była wartość na owe czasy, ale jakaś na pewno była. Sądziłam, że to mąż skądś się dowiedział, może od brata, bo przecież to już kawał czasu minęło jak wyjechałam z Wilna, albo od kogoś z przyjaciół, że ja wyjechałam właśnie w kierunku na Węgry i myślałam, że może po drodze wpadnę, bo zawsze mi pisał, że po drodze na Węgry to mam takie i takie adresy. Między innymi podał mi adres swojej siostry. On napisał również z Węgier do siostry wtedy kiedy ich tam rozpuszcili żołnierzy, czyli jak już sowieci tam weszli. W jakich warunkach mąż mój wracał do Polski to nowa historia. Ciągłe kierowali ich do Rosji. Szczególnie to dotyczyło tych, którzy mieli jakieś odznaki. Mąż był już wtedy w randze porucznika, bo przedtem był podporucznikiem z jedną gwiazdką. Wtedy kiedy on wracał to tacy byli bardzo niepożądanymi. Ich od razu z miejsca wywozili, ale mąż miał dobrą orientację, szybko bardzo się orientował co mu grozi. Przy różnej pomocy, nawet dobrych żołnierzy sowieckich udało mu się dostać do Polski. Nieraz ktoś życzliwy szepnął mu żeby uciekał i dzięki temu nie został, nie znalazł się na terenach wschodnich, czyli na terenach Rosji. Znał Polskę, bo jeździł dużo po Polsce, lubił uprawiać turystykę, jeździł dużo po Polsce rowerami i bocznymi drogami dobrnął do siostry. Był w bardzo ciężkim stanie, bo miał awitaminozę, miał całe plecy we wrzodach, zęby mu powypadały, włosy wypadły... Po prostu trudno go było poznać.

Wracając do wiadomości, którą dostałam z Nowego Sącza to myślałam, że mąż mnie tam wzywa. Wzięłam zwolnienie z pracy i w

pociągach takich składanych, przeróżnych towarowych, gdzieś tam na dachu i nie na dachu brnęłam do Nowego Sącza. Trwało to mniej więcej około 2 tygodni. Dobrnęłam. Okazało się, że to była mylna wiadomość, bo ci państwo, którzy to wysłali, ten przekaz to wysłali jednocześnie list z prośbą żebym te pieniądze dostarczyła im krewnym, którzy znajdowali się gdzieś tam pod Lublinem. Niestety oni tego nie otrzymali, bo ja pojechałam do Nowego Sącza i dopiero po powrocie zwróciłam im te pieniądze. To była ta mylna wiadomość.

Niektórzy z męża jednostki wracali do Polski. Wracali gdzieś tam z Niemiec, bo tam gdzieś pod Berlinem był obóz, bo tam ich wywozili. Mąż z jednego takiego pociągu wyskoczył i ukryli go Węgrzy. To było pod Soponem, przed granicą. Wiedział, że wiozą go do Niemiec, a wiedział też, że sytuacja polityczna bardzo się zmieniała i to może być groźne. Przez okno towarowe wyskoczył w biegu. On i jeszcze jego jeden oficer - kolega tym oknem wskoczyli. I jego i męża ukrywali przez cały czas, przez ileś tam miesięcy, blisko rok Węgrzy, właśnie tam pod Soponem, pod granicą austrijacką.

Mąż mój przez całą wojnę był na Węgrzech, bo przedtem miał możliwość wyjazdu, a potem już to się utrudniło kiedy zaczęli rządzić tam Niemcy. Było coraz trudniej, bo już byli w obozach internowani. W pewnym stopniu to i ja się przyczyniłam do tego, bo on ciągle liczył na to, że ja będę również żołnierzem, a ponieważ on był w intendenturze to ja byłabym mu bardzo pomocna.

Pyt. Proszę jeszcze o powrót do roku 1941 i do momentu, kiedy na wileńszczyznę wkroczyli Niemcy, kiedy zaczęła się okupacja niemiecka, co Pani pamięta z tamtego okresu, co Pani wówczas robiła, gdzie Pani mieszkała?

W pierwszym roku wojny, ponieważ sądziłam, że wojna długo nie będzie trwała powiedziałam sobie, że nie będę służyła Niemcom, nie będę czarnej roboty robiła, wolę iść i rolnikom kopać kartofle,

na wsi pracować. I tak robiłam. Z tego się utrzymywałam. W jesieni, do późnej jesieni kopałam kartofle, w gospodarstwie pomagałam. I tak jakoś przetrwałam. Dali mi kapusty na zimę, dali kartofli, trochę słoniny zarobiłam. Potem zapisałam się do konserwatorium i kontynuowałam swoją naukę. Krótko to trwało. Niemożliwe było się bez pracy utrzymać, zwłaszcza wtedy kiedy i pieniądze ciągle się zmieniały. Raz takie, raz takie. Raz lity były, raz były marki, to znowu ruble i tak dalej. W końcu musiałam iść do pracy. Zamieszkałam w Wilnie przy ulicy Zakretowej róg Rzecznej, w drewnianym domku na Salce. Zamieszkałam na górze, w takim letnim mieszkanku. To było w pobliżu budynku gdzie mieścił się kiedyś Uniwersytet - Wydział Biologii. Tam zrobili taki przejściowy szpital polowy dla Niemców. I tam się zatrudniłam w tym szpitalu. Zatrudniono mnie w kasynie dla sióstr Niemek, które pracowały w tym szpitalu.

W tym czasie najważniejszą rzeczą było to, że Polacy bardzo się trzymali razem. Byli sobie bardzo, bardzo życzliwi. Może bardziej niż niejedna rodzina. Myśmy w tym szpitalu bardzo się wzajemnie wspierali. Wszystkie cierpienia, wszystkie niewygody przeżywaliśmy wspólnie. Zdarzyło się parę momentów godnych zapamiętania.

Pierwszy moment, kiedy dostałam, ponieważ nie miałam dzieci, kartę na wywóz. Właściwie jeszcze nie dostałam, ale była Polka, która znając dobrze język niemiecki pracowała w sekretariacie. W jej ręce wpadła koperta, w której była lista Polaków, którzy mieli być z tego szpitala wywiezieni na roboty do Niemiec. Była tak życzliwa, a знаła mnie, że zaraz mnie zawiadomiła, żebym natychmiast coś wymyśliła, żebym zachorowała czy gdzieś uciekła, żebym coś zrobiła jeśli nie chcę wyjechać do Niemiec. Oczywiście, że nie chciałam, bo jeszcze zawsze miałam tutaj jaką taką łączność

z mężem i mogłam planować razem, a poza tym jeśli już zginąć to gdzieś bliżej żeby wiedzieli, a nie w nieznanym terenie. Zresztą zawsze wyobrażałam sobie tych ludzi w Niemczech jako bardzo złych i nieżyczliwych Polakom. Natychmiast wywołałam u siebie chorobę. Po prostu wypikłam szklanke octu ileś tam procentowego no i mocno rozchorowałam się na jelita. Dostałam się do szpitala i dzięki temu dowiedziałam się, że w szpitalu są lekarze i inny personel bardzo nam Polakom życzliwy. Ja tam nie przyjmowałam żadnego jedzenia aczkolwiek już pewne rzeczy mogłam jeść, żeby spowodować duży spadek wagi, żeby doprowadzić się do takiego stanu, żebym rzeczywiście nie mogła pracować. Pamiętam że byłam parę tygodni w tym szpitalu. Po wyjściu, a ponieważ bardzo ograniczone ilości jadłam, no to tak zmizerniałam niesamowicie, ale młody organizm wszystko przezwycięży, i mój też. Na komisję zostałam skierowana po szpitalu, niemiecką, gdzie było kilku lekarzy i badali mnie i dali mi roczny urlop. W ogóle byłam zwolniona z pracy u Niemców, a to była już duża rzecz. No ale ja oczywiście pochorowałam miesiąc, a może i tego nie i zaraz zgłosiłam się znowu i dalej pracowałam. Już mnie nie ruszano i uniknęłam tego wywozu.

W tym szpitalu pracowałam aż do końca. Oczywiście z przerwami, bo jak przyszli bolszewicy ale nie pamiętam w jakim roku, bo od czasu do czasu sytuacja się zmieniała i raz byli Niemcy, raz bolszewicy, to ja pracowałam też w pobliżu, ale w innej pracy. W ostatnim czasie mego pobytu w Wilnie to ja pracowałam w Wojentorgu - to była taka stołówka naprzeciwko dworca, w domu kolejowym, gdzie był bufet. Byłam tam jako ta bufeteczka tak zwana. Na zmianę z drugą panią miałam 5-dniówkę. To znaczy 5 nocy i 5 dni pracowałam, a potem robiłyśmy krótki remanent i ona z kolei pracowała. Oczywiście kasę prowadziłam ja. W bufecie znajdowały się napoje, wino i przeróżne zakąski. Jak przyszli po raz ostani Niemcy i znowu wróciłam do pracy do Niemców. Tak więc moja praca tak się zmie-



niała. Tylko teraz mogę coś już nie pamiętać - kiedy i w jakim czasie gdzie pracowałam. Pracowałam również na przykład w piekarni jakiś czas przy sprzedaży chleba. Pracowałam również prywatnie u pana, który się nazywał Świącicki i on jest chyba teraz w radio w Waszyngtonie, czy może to są już dzieci jego. On miał wtedy sklep

Opowiadałam poprzednio o szpitalu, a więc wrócę do tego momentu ponieważ to był bardzo ważny moment. To było już ostatnimi czasami jak byli u nas Niemcy przed przyjściem bolszewików. Przed ostatnim zajęciem Wilna przez bolszewików. Pracowałam w kasynie sióstr Najpierw sama, a później dano jeszcze dwie panie. Wśród nas była pani, której ojciec i dwóch braci poszli do partyzantki. Partyzantka mieściła się w lesie za Jaszunami, w stronę Puszczy Rudnickiej. Tam partyzantka opanowała duże tereny ziem do tego stopnia, że całe wsie były w rękach partyzantów i nawet proporce polskie były tam zawieszane. W jednej takiej wsi był, koleżanki z którą pracowałam, ojciec jako lekarz i dwóch braci. On z synami poszedł do partyzantki. Pewnego dnia ta koleżanka powiedziała, że pójdziemy do nich. Ona miała hasła, dzięki którym będziemy miały przepustkę, ona wiedziała którędy się idzie, bo już tam była. Niestety do tego nie doszło, ale była inna ciekawa rzecz.

Przez cały czas wiedziałyśmy, że istnieje partyzantka, a to głównie dzięki temu, że na terenie szpitala wszyscy Polacy byli zorganizowani w ten sposób, że wykradali co kto mógł, a więc czy coś ze sprzętu - zależnie od tego gdzie pracował, czy z żywności, czy z ubrania. Co kto mógł wykradało się i dostarczało do tego budynku gdzie znajdowało się kasyno sióstr czyli tam gdzie ja pracowałam. Kasyno znajdowało się na górze, na pierwszym piętrze. To był taki drewniany piętrowy domek. Na parterze mieszkał ogrodnik, który się zajmował porządkiem i całą posesją, bo tam dużo było ziemi. Sadzono różne nowalijki, inspekta jaies tam były. Mnie to

mniej interesowało. Moją i moich koleżanek czynnością było przede wszystkim sprzątanie i donoszenie żywności, wszystkich posiłków z magazynu albo z kuchni. Rzeczy niegorące przynosiło się z magazynu, a więc chleb, wędliny, marmeladę, owoce. To się przynosiło z magazynu, a z kuchni tylko posiłki gotowane. Przechodziłyśmy drewnianymi schodami od strony ogrodnika, czyli tzw. kuchennym wejściem na górę do sióstr. Tamteży nosiłyśmy nisy z żywnością. Każda co inne niosła. Myśmy robiły porcje i mniej więcej wiedziałyśmy ile porcji robić. Siostry się leniły z przychodzeniem na posiłki do kasyna. Jadały u siebie, w innych budynkach zupełnie, do których trzeba było przejść przez podwórze. Miałyśmy więc tą swobodę, że sióstr prawie wcale u nas nie było i jak szłyśmy do magazynu to zawsze był przygotowany worek u ogrodnika. On widział, że idziemy po porcje i wystawiał worek drutem opięty, żeby było łatwo do niego wrzucać. Wrzucałyśmy do niego to co było twarde, a więc konserwy, kiełbasy parę krążków, chleb. Wrzucałyśmy szybko i znikaliśmy. On w odpowiednim miejscu miał dziurę w podłodze i wsadzał tam worek. Nie tylko nasze kasyno dostraczało, ale w ten sposób i inne stacje również dostarczały. Co się z tym dalej działo to my nie wiedziałyśmy i nie chciałyśmy wiedzieć. Wiedziałyśmy, że to idzie do lasu i że jest to przerzucane przez płot, ale jak i o której godzinie to nie interesowałyśmy się tym, bo to nawet było niepożądane żebyśmy wiedziały. To wszystko było takie sympatyczne, bo Polacy bardzo się starali żeby jak najwięcej dostarczyć tym ludziom do lasu, naszym żołnierzom. To się ciągnęło dosyć długo i trzeba przyznać, że w ciągu tego całego okresu nikt nie wpadł.

Był też raz taki moment, że jeden z partyzantów zamieszkał u koleżanki siostry, która była docentem na Uniwersytecie przed 39 rokiem. Ona (ta dziewczyna) była kandydatką do gimnazjum w 39 roku, bo to była jeszcze młoda dziewczyna, z Zamościa pochodziła. Dowie-

działa się, że jej brat przyszedł z partyzantki, a więc chciała mu przynieść trochę białego pieczywa, bułkę, trochę sera czy wędliny, szynki. Wracaliśmy razem, razem przechodziłyśmy przez portiernię i tam kazano jej pokazać torbę. Widziałam jak zbladła i pokazała ten chleb. Nawet nie zobaczyli wędliny, zobaczyli natomiast papierosy. Żołnierz, to chyba był Austriak jak się potem dowiedziała, powiedział: "Ja tego nie widzę, uciekajcie!". Puścił nas i pozwolił nam to przenieść mówiąc: "Ja tego nie widziałem, żebyście wiedziały! Nie widziałem tego!". Powiedział to po niemiecku, a ona trochę znała niemiecki. Ja też troszkę znałam. Ja też coś wtedy miałam, ale u mnie nie zaglądnął tylko u niej. Poszłyśmy i oczywiście zanosłyśmy wszystko co miałyśmy.

W tym czasie obok ich domu, w którym ona mieszkała, a mieścił się on na Wielkiej Pohulance, znajdował się Dom Niemców Wyższej Rangi, był jej brat partyzant. Pod ten Dom Niemców podjechało auto, w którym on rozpoznał swoich kolegów z lasu. W samochodzie miało się znajdować coś bardzo ważnego. Nasi żołnierze czyli partyzanci chcieli uruchomić ten samochód. Ze zdenerwowania nie mogli zapalić maszyny. Z budynku natychmiast wyskoczyli Niemcy. Jeden miał granaty, rzucał granatami i uciekał. Co z nim było nie wiem, chyba zginął. Drugiego zabrali w samochodzie. Z relacji brata tej koleżanki, z którą pracowałam, to on podobno miał pastylki na wypadek jakiegoś nieszczęścia, żeby zażyć i spowodować śmierć. Prawdopodobnie trzeba się liczyć z tym, że tak było, ale jeśli nie to byłby bardzo nieszczęśliwy. Oczywiście Niemcy zaraz obławę dookoła zrobili, a przecież tu w tym domu znajduje się partyzant. Oni na szczęście mieli schowek. Między drzwiami była szeroka ściana, było dwoje drzwi i między tymi drzwiami była deska. Ta deska była ruchoma, malowana na biało tak jak drzwi i tam wykuli tyle cegieł, żeby można było stanąć. I on tam stał. Stał bardzo długo.

Jak tam wytrzymał nie wiem, ale to był chłopiec, który miał 18 lat i był taki na-prawdę piękny. Tadeusz miał na imię. Pamiętam, że wtedy po raz pierwszy w życiu wypijałam dużo samogonu, żeby stracić całkowicie panowanie nad sobą, żeby nie przeżywać więcej. Oczywiście mi ten samogon zaszkodził, przechorowałam to bardzo. Tak to się wszystko zakończyło, że ten chłopiec Tadzio poszedł do partyzantki. Co dalej z nim było nie wiem.

Pyt.: Była Pani żoną wojskowego, internowanego na Węgrzech, czy wobec tego spotkała się Pani z jakąś szczególną opieką ze strony różnych ludzi?

Mój mąż nie był zawodowym podporucznikiem, a więc nie był zawodowym wojskowym, więc specjalnie... Zresztą tak dużo było nie-szczęśliwych rodzin z dziećmi, że nawet gdyby mi ktoś okazywał coś to ja był powiedziałam, że to niemoralne było sięgać wtedy gdy byłam zdrowa. Ja uważałam, że to ja powinnam coraz więcej się starać o to żeby komuś coś pomóc. I oczywiście robiłam to w miarę swoich sił. Oczywiście jak w tym szpitalu na przykład pracowałam to nie-jednokrotnie wносиłam i zanosilałam żywność do tych rodzin, które miały dzieci. Pamiętam też taki moment. Wśród partyzantów była organizowana choinka. Każdy co mógł ofiarowywał coś partyzantom od siebie. Ja miałam konserwy, które otrzymałam. Trzeba przyznać, że na Boże Narodzenie, Wielkanoc czy imieniny to te siostry starały się być życzliwe i nam jako swoim poddanym robiły prezenty. Te prezenty to najczęściej były jakieś konserwy, papierosy czy coś takiego. Z ubrań raczej nie. No więc ja miałam u siebie w zapasie parę konserw, po mężu szalik czy coś takiego. Zrobiłam więc paczkę, bo szykowała się Wigilia w lesie. Pamiętam, że napisałam na tej paczce, że przeznaczona jest ona dla pierwszego Stefana, bo (tak miał na imię mój mąż). Narysowałam gałązkę choinki, świeczkę palącą się. Dołożyłam kilka serwetek, trochę łakoci, które

miałam od sióstr i gromadziłam je. Na ogół zawsze zanosiko się to gdzieś tam gdzie były małe dzieci. Kupić przecież tego nie można było, a w szpitalu to dostało się od chorych, albo od sióstr. Czasem do chorych przyjeżdżała rodzina to oni też czasem coś dali. To wszystko się przekazywało. Tak że ja nie musiałam mieć żadnej pomocy, nie miałam potrzeby. Nie, absolutnie nie miałam takiej potrzeby. Cały czas uważałam, że to ja powinnam pomagać, a nie że ktoś miałby mi pomagać.

Na ogół Polacy byli bardzo zjednoczeni, bardzo jacyś tacy życzliwi sobie. Niezwykli byli. No na prawdę nie mam słów. Nie poznaję nieraz dzisiaj Polaków porównując ich do tamtych czasów. Byli niezwykle życzliwi dla siebie. Tak było w każdym bądź razie na wileńszczyźnie. Byli tacy ofiarni, a poza tym wiedziałam, że jak Polak to można ufać, aczkolwiek pewne rzeczy takie jak na przykład jak co wędrowało do lasu to mnie nie interesowało, ale z innych względów. Nie chciałam, nikt nie chciał o tym wiedzieć, bo to było niepożądane. Nie wiadomo było co kogo czeka jutro. A może jakiś katorga, jakieś bicie? A może człowiek straci orientację, przytomność? Może lekami będą chcieli skłonić do powiedzenia jakiejś prawdy, a więc nie chciało się znać prawdy. Owszem wiedziało się, że jest partyzantka, gdzie jest itd, ale taka prawda to nie była groźna, bo oni też doskonale wiedzieli gdzie się znajduje partyzantka, jakie tereny są objęte i wywalczone przez żołnierza polskiego czy w ogóle przez młodych Polaków.

Byłam też świadkiem jak prowadzili Żydów na stracenie. To były straszne momenty. Trudno było patrzeć na to, bo aczkolwiek nie wiedziałam gdzie się to ma stać, ale już później w miarę czasu to coraz bardziej byliśmy zorientowani co się z nimi stanie. To było straszne! Straszne! Żydzi uciekali. Żydzi po lasach się gromadzili. Kiedyś zgłosiłam się do pracy w majątku w Jaszunach, któ-

ry mieli w posiadaniu Niemcy. To było latem. Nie od razu dostałam tę pracę więc pojechałam ze swoją bardzo dobrą znajomą do Bieniakonń, żeby coś sprzedać. Ona miała więcej na sprzedaż, ona miała rodzinę. Jeszcze w 59 roku nakupiła wiele rzeczy i jak wojna wybuchła to ona tym ratowała swoje dzieci, wymieniała na masło. Szliśmy więc do Bieniakonń i w pewnym domku pod lasem u pewnej polskiej rodziny przenocowałyśmy. Wszędzie spotykaliśmy życzliwych Polaków, którzy niezwykle życzliwie nas przyjmowali. Pomagali nam. Mówili gdzie co można kupić. Miałyśmy na sprzedaż nici, jakieś materiały. Byłyśmy się, więc od domu chodziłyśmy między zbożami czy łąkami tak żeby Broni BOże jakiś Niemiec nas nie zobaczył. Kiedy więc tak spały<sup>śmy</sup> w tej chacie nagle ktoś zastukał do okna. Gospodarz wstał, a nam jak to się mówi serce podeszło do gardła. On nie powinien nas trzymać, bo myśmy przekroczyły granicę swego stażego po bytu. Mógł mieć z tego powodu wielkie przykrości. Podeszedł do okna i pyta: "Kto?". W odpowiedzi słyszy: "Z lasu!" Okazało się, że to są Żydzi. "Chleba chcemy!" Ona na to odpowiada: "Niewiele nam, ale to co nam to dam wam". Później nam opowiadał, że często musia ten chleb szyć, czy coś innego jak nie chleb, bo inaczej to było i tak, że gdzieś tam została podpalona chałupa. Dał im chleba, uspokoiło się i do rana przenocowałyśmy.

Różne były momenty a wśród nich i takie wspomnienia. Idziemy sobie, a tu zboża takie piękne, pagórki takie piękne w tych stronach. W tych stronach przebywał Mickiewicz. To było blisko Bieniakonń, a tam był majątek Wereszczaków. Oglądałyśmy tą posiadłość, jezioro i kamień gdzie Mickiewicz siadywał. To wszystko było dla nas takie bliskie, takie drogie. I między tym wszystkim taka zawierucha w kraju i na świecie. Czekałyśmy wieczora, kiedy można było zobaczyć w jeziorze gwiazdy. Bardzo podobała nam się ta wieś, gdzie mieszkali Wereszczakowie. Trzeba przyznać, że niezwykle urodziwie

i niezwykle piękne dziewczęta tam były...

Przy ostatecznym wyzwoleniu Wilna nie byłam. Wtedy byłam właśnie pod Nowym Sączem, kiedy zakończyła się wojna. W trakcie wyzwolenia Wilna przez Sowieców to ja byłam w trakcie wyprawy na Węgry. To wtedy byłam potraktowana jako szpieg i chciano mnie rozstrzelać. Ja nie byłam w momencie wyzwolenia, ale pamiętam jak tamtędy przechodził front. Wilno jeszcze nie było oswobodzone, a Niemcy kazali opuścić Wilno. Czy oni jeszcze tam powracali to ja nie pamiętam, bo wyjechałam do Jaszun, a stamtąd jak już mówiłam zdecydowałam się iść na Budapeszt. Pamiętam tylko jedno, że jak było ostatnie wejście Bolszewików to była długa bitwa. Może parę tygodni trwała albo może krócej. W każdym razie Niemcy kazali opuścić Wilno i myśmy udali się w kierunku na Karolinki - to była taka piękna dzielnica Wilna. Spłynęliśmy Łódką i była tam bratowa męża, jej brat, który wrócił z wojny, i było małe dziecko. Pamiętam, że byliśmy w stodole, nad którą ciągle gwizdały działa. Takie to było męczące, bo ciągle się zdawało, że trafi w naszą stodołę. I tak było bez przerwy i bez przerwy. Ja przesiadywałam w większości w dole po kartoflach, bo już nie wytrzymywałam nerwowo tych dział. Wilnia była tą granicą, która dzieliła dwa przeciwne obozy, a stodoła nasza była tuż nad Wilnią. Kiedy powróciłam do Wilna, to był straszny widok. Z rozpaczą patrzyłam na to wszystko dookoła, na drzewa, na domy, na ulice. Wilnia to był jeden wielki grób żołnierza niemieckiego. Pełno tam było ich trupów. To był straszny widok. Na Mickiewicza pełno było zabitych koni. Drzewa pokamane, popalone. Widziałam biegające dzieci po 12 lat z karabinami, których nie umieli trzymać. Strzelali do żołnierzy, prawdopodobnie sowieckich. Oczywiście oni potem zostali aresztowani i wywiezieni gdzieś w głąb. W każdym razie straszny był obraz tych dzieci bohaterów. Koleżanka moja straciła brata, który miał 14 lat. On zginął z ka-

rabinem w ręku. Nazywał się Broniek Zawilski. Ona była w dziecińczych latach moją koleżanką, a później była w Gimnazjum Nazaretanek w Wilnie. Były dwie siostry Zawilskie i to właśnie ich braciшек Bronisław zginął wtedy jako mały chłopiec z karabinem w ręku.